

140. Przedstaw mi swojego szefa

Take me to your leader

Jay Friedman, *lipiec 2006*

Tym razem pogadajmy o dyrygentach. CHŁOPIE, co za temat! Jak zaczniemy? Grałem z wieloma dyrygentami, jak pewnie wielu z Was- od szkoły, aż po pracę w orkiestrze, lub choćby granie w amatorskich zespołach; po prostu nie da się od nich uciec. Chcę przyjrzeć się temu, co czyni dyrygenta i temu, jak muzycy na dyrygenta reagują, co może jest tutaj najważniejsze.

Dzisiaj zawód dyrygenta, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, uzależniony jest od show biznesu. Dawniej ktoś z rekomendacją sławnego dyrygenta, na przykład Mahlera, mógł udać się do opery i zostać korepetytorem, a następnie, dzięki swej pracy i wybitnemu talentowi, stopniowo rozpoczynać karierę dyrygencką. Teraz zostajesz gwiazdą, dostając dyplom dyrygentury wraz z suszarką do włosów od Akademii Sibeliusa, zapewne będąc wyłowionym przez agenta (pasożyta) i **PROSZĘ BARDZO!** Jesteś dyrygentem! Zamiast pracować nad swym rozwojem muzycznym, spędzasz mnóstwo czasu doskonaląc „piękne ręce”, co, na nieszczęście dla muzyków zmuszonych grać pod Twoją dyрекcją, nie ma nic wspólnego z muzyką, ani z interpretacją. Ponieważ gwałtownie stałeś się celebrytą, nie zaczynasz od małych zespołów, nie, Ty będziesz dyrygował takimi orkiestrami, jak Filharmonicy Berlińscy, Orkiestra Opery Wiedeńskiej, czy London Symphony etc. Publiczność, zaciekawiona najnowszym „cudownym dzieckiem” będzie kupować przez jakiś czas bilety, a menedżerowie orkiestr będą zachwyceni, trzymając się ogólnej opinii, że: „musi być dobry, inaczej nie byłby sławny”. Tymczasem biedni muzycy rwą z głowy włosy (albo to, co z nich zostało), biadoląc nad kolejną straconą okazją wspaniałego wykonania. Osobiście jestem chory i zmęczony graniem dla kolejnego małego geniusza, którego jedynym pretekstem do sławy są fantastyczne ręce. Muzyczne zrozumienie symfoniki przychodzi po latach dojrzewania, doświadczeń, prób i błędów, oraz wielu przemyśleń.

Dawny sposób też czasem zawodził. Grałem dla wielu dyrygentów, którzy przeszli tradycyjną drogę operową, a nie mieli pojęcia o muzyce symfonicznej. Być może muzycznie prowadzili ich śpiewacy, a pozostawieni sami sobie nie wiedzieli co zrobić, by stworzyć przekonującą wersję symfonii. Dyrygowałem tu i tam; wierzcie mi, dyrygowanie symfoniczne jest, w porównaniu z operą, dziecinnie proste. A to doprowadza mnie do wniosku, że **DYRYGENTOM PRZYPISUJE SIĘ ZBYT WIELKIE ZASŁUGI ZA WYKONANIE**. Nie napisali tego i tego nie zagrali. Nie można ich nawet porównać do aktorów, którzy udają orkiestrę i dyrygenta. Są jak **REGULUJĄCY RUCHEM MUZYCZNYM** zawiadowcy, których nie słyhać. Nie gloryfikujmy więc ich za stosunkowo skromne osiągnięcia, bo tylko odtwarzają sztukę innych ludzi. Czy nazywamy geniuszem kogoś, kto organizuje wystawy obrazów, czy innych dzieł sztuki? To całkiem bliskie zadaniu dyrygenta. Bądźmy realistami i ceńmy dyrygowanie, zważając na jego rzeczywistą funkcję, czyli odtwarzanie dzieła sztuki. Notacja muzyczna nie jest doskonałą formą zachowania pomysłów kompozytora, stąd jest tu przestrzeń dla pewnych dowolności. Zasadniczo możemy rozróżnić dwie skrajne szkoły interpretacji. Jedna bierze utwór i zniekształca go do prawie nie do poznania. Druga skrajność to działanie na podobieństwo metronomu i mechaniczne odtwarzanie tego co w nutach, bez żadnej interpretacji. Wszyscy dyrygenci, w różnym stopniu, podpadają pod te dwa skrajne przypadki. Trudność polega na połączeniu najlepszych cech obu ekstremów i osiągnięciu wykonania, które przywróci do życia nawet te marzenia i życzenia kompozytora o których, być może, tylko napomknął w partyturze. Dyrygenci muszą poruszać się po wąskiej linii granicznej pomiędzy skrajnościami; kształt tej linii zmienia się wraz z muzyką, potrzebna jest wiedza,

rozsądek i wrodzona zdolność odczucia jak zabrzmiało coś, co jeszcze nie zostało zagrane. Powiedzmy tak, dyrygent musi być w stanie przekazać sposób interpretacji rękami i twarzą, w zasadzie bez pomocy słów. Przesadne wyjaśnianie jest niepotrzebne i generalnie niezbyt wysoko przez orkiestrantów cenione. Również dyrygenci, którzy sporo czasu spędzają na uśmiechaniu się do orkiestry, zazwyczaj uważani są za nieszczerych, zaś pożądaną cechą wydaje się być powaga. Uważam też, że wymagający w sensie muzycznym dyrygent jest bardziej szanowany niż ktoś, kto próbuje tylko zaskarbić sobie względy zespołu. Tu przykład: nieżyjący już Gunter Wand był jednym z najpoważniejszych i prostolinijszych dyrygentów wszechczasów. Chyba nigdy na próbie, przy żadnym dyrygencie, nie zeżliłem się tak, jak wówczas, gdy zapomniałem o swoim wejściu. Jednak nawet wtedy wiedzieliśmy, że tu chodzi o muzykę, a nie osobiste animozje. Osiągał znakomite rezultaty dzięki szczeroci swych zamiarów.

To, jak dyrygenci odbierani są przez muzyków, może być powodem interesującej dyskusji. Ogólnie mówiąc, im więcej nut ma do zagrania muzyk, tym wyżej oceni dyrygenta, który mu tę pracę ułatwi. Ci instrumentalisci, którzy grają rzadziej i mają mniej nut do zagrania, mają więcej okazji do oceny interpretacji, nie tylko umiejętności technicznych dyrygenta. Mimo to odkryłem, że tylko niewielu muzyków jest w stanie ocenić umiejętności interpretacyjne dyrygenta w oderwaniu od jego osobistych zachowań, manieryzmów. Dlatego orkiestraci nie mogą być uważani za najwyższy autorytet w zakresie muzycznych kwalifikacji dyrygenta. Oczywiście muzycy mogą natychmiast wykryć czy ktoś ma kwalifikacje techniczne do dyrygowania, ale nawet tu mogą się mylić. Widziałem dyrygentów bardzo niezręcznych fizycznie, którzy jednak osiągnęli wspaniałe muzyczne rezultaty. Widziałem też dyrygentów z fantastyczną techniką, którzy nie mieli w ogóle pojęcia o muzyce.

Co sprawia, że dyrygowanie jest takie trudne? Odpowiedź jest całkiem prosta. Toscanini powiedział: „każdy osioł może dyrygować, ale trudne jest tworzenie muzyki”. I tu tkwi problem. Ponieważ technicznie jest to łatwe, trudno jest zostać wspaniałym. Najważniejszą cechą, którą musi posiadać dyrygent, jest naturalny instynkt muzyczny. To nie ma nic wspólnego z inteligencją. Z naturalnym instynktem muzycznym można się urodzić, może się on też rozwinąć z czasem, zwykle przez czas dłuższy. Georg Solti powiedział kiedyś, że dyrygent nie powinien prowadzić Brucknera, dopóki nie skończy 50 lat. Według mnie chodziło mu o to, że najpierw trzeba przeżyć młodzieńczą sportową wybujałość, by osiągnąć cierpliwość i mądrość konieczną dla tej muzyki. Można by to zastosować do większości literatury muzycznej. Dlatego tak długo trwa proces kształtowania znakomitego muzyka/dyrygenta.

Ostatnimi laty zauważyłem dziwne zjawisko: jeśli dyrygent spektakularnie zadebiutuje z orkiestrą, to podczas kolejnych angaży wypada wielokrotnie gorzej. Jeśli w tym czasie inny dyrygent debiutuje bardzo profesjonalnie i kompetentnie, prawie nic nie mówiąc na próbach, za to osiągając znakomite wykonanie utworu niewywołującego może burzliwej reakcji publiczności, to możliwe, że przejdzie praktycznie niezauważony przez orkiestrę i szefostwo. Jednak podczas kolejnych przyjazdów jego kompetencje zaczynają się coraz bardziej ujawniać i ostatecznie zostaje uznana wyjątkowość takiego dyrygenta i muzyka...jeśli oczywiście jakimś cudem zostanie ponownie zaangażowany po pierwszym występie... Nie wiem, dlaczego tak się dzieje; być może to symptom świata natychmiastowej gratyfikacji, w którym przyszło nam żyć i do którego się przyzwyczailiśmy. Dlatego przestrzegalbym wszelkie zespoły, by nie podejmowały pochopnych decyzji o zatrudnieniu dyrygentów na podstawie błyskotliwego debiutu, bez przeprowadzenia pogłębionej analizy muzycznej.